

ADAM
BAHDAJ

STAWIAM
NA TOLKA
BANANA

ADAM
BAHDAJ



STAWIAM
NA TOLKA
BANANA



Adam Bahdaj
Stawiam na Tolka Banana

© by Adam Bahdaj
© by Wydawnictwo Literatura



Okładka:
Olga Reszelska

Skład i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie VII
w Wydawnictwie Literatura, Łódź 2022

ISBN 978-83-8208-085-8

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

ROZDZIAŁ PIERWSZY

1

– *L*uluniu, pani Teca mówiła, że wczoraj znowu oglądałeś w telewizji jakiś kryminalny film – powiedziała pani Seratowiczowa.

Siedzieli na werandzie. Było duszno. Wielkie chmury wylały się spoza linii dachów, zalewając czystą przestrzeń nieba.

– Amerykański – odparł po chwili chłopiec. – Straszna bzdura. Pewien facet zastrzelił barmana z baru „Saroya” w Miami...

– Przecież prosiłam, żebyś nie oglądał tych filmów. Od ilu lat był dozwolony?

– Od szesnastu, ale koń by się uśmieł. Ten facet zastrzelił go tylko dlatego, że barman nie podał mu w porę szklaneczki whisky. Zupełna lipa. Czy można za to zastrzelić człowieka?

– Nie można, ale ja prosiłam cię...

– Wiem, mamó, tylko co miałem robić. Strasznie się nudziłem. I w ogóle film był zupełnie do kitu. Ten facet kochał się w jakiejś Meksykance, która tańczyła w tym lokalu. Nic nie robił, tylko kupował jej rozmaite brylanty i futra, a ona jednak wolała jednego toreadora, który podczas corridy zakatrupił byka. Ja też bym wolał, bo tamten ładowany facet był gangsterem i przemycił z Hongkongu narkotyki.

Pani Seratowiczowa westchnęła boleśnie.

– A ty na to patrzysz.

– Gdybym wiedział, że to taka bzdura, to nawet nie otworzyłbym telewizora. Świetny był tylko pościg za tym gangsterem przez pustynię w Nowym Meksyku. On nawiewał helikopterem, ale wysiadł mu silnik i musiał nająć mulników. Podobno muły mogą iść przez pustynię cały tydzień bez jedzenia i bez wody. Tak mówił Krzyś Sekociński, a on wszystko wie...

– Właśnie – podjęła głosem znużonym pani Seratowiczowa. – Czy zamiast oglądać ten niedorzeczny film, nie mogłeś zadzwonić do Krzysia i zaprosić go do siebie?

– Już wolę oglądać takie filmy.

– Czego ty właściwie chcesz od Krzysia? Przecież to bardzo miły chłopiec.

– Za bardzo. Mama nawet nie wie, jaki on miły. Ja przy nim słowa nie mogę powiedzieć, bo on wszystko wie lepiej. On nawet wie, kiedy Napoleon przechodził koklusz i kto wynalazł maszynkę do wrywania włosów z nosa. Genialny chłopiec, daję słowo, czyta już angielskie książki, a na obiad mówi: „lunch”. Kichać mi się chce, jak na niego patrzę. I w ogóle...

Pani Seratowiczowa uważniej spojrzała na chłopca.

– Przesadzasz, mój drogi. Krzyś jest świetnie ułożony i bardzo bym chciała, żebyś się z nim zaprzyjaźnił.

– Dziękuję. Zdaje mi się przy nim, że jestem matolem.

– On by cię podciągnął, zajął...

– Dziękuję – uśmiechnął się cierpko. – Zanudziłby mnie na cacy.

– Jak ty się wyrażasz?

– Przecież tak się mówi.

– To chyba jacyś chuligani używają takich zwrotów.

– Nie chuligani, tylko morowi chłopcy.

– I dziwię się bardzo... – zawahała się chwilę. Naraz ujęła dłoń chłopca i spojrzała mu w oczy: – Powiedz mi, mój drogi, dlaczego ty nie masz kolegów?

Chłopiec zachnął się.

– Mama by chciała, żebym miał kolegów, a jak kiedyś przyprowadziłem Antosia Fuflewicza, to przez dwa dni wietrzyła mama mieszkanie.

– Bo, delikatnie mówiąc, Fuflewicz nie mył sobie nóg.

– Nie mył nóg, ale za to morowy chłopiec. Żeby mama widziała, jak on gra w gałę.

– W co?

– No, w piłkę. Jest najlepszym napastnikiem i zawsze gra na prawym skrzydle.

– A ty, na jakim grasz skrzydle?

Przez jasną twarz chłopca przemknął cień rozpaczy.

– Mnie nigdy jeszcze nie wstawili do składu.

– Dlaczego?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Eee... – westchnął – mówią, że jestem patałach.

– Przecież nieźle grasz w tenisa.

– Tenis u nich się nie liczy, u nich najważniejsza gała.

Pani Seratowiczowa chciała ogarnąć go ramieniem. Chłopiec odsunął się gwałtownie.

– Co ci się stało?

– Nic. Mama i tak mnie nie zrozumie.

– A któż cię zrozumie lepiej ode mnie?

– Mama by chciała, żebym tylko siedział w domu i czytał książki... i dyskutował z Krzyśkiem... – Zagryzł wargę i twarz jego nagle stężała. – Dlatego chłopcy nie chcą się ze mną kolegować. Mówią, że jestem patałach, i nabijają się ze mnie.

– Bo szukasz zawsze nieodpowiedniego towarzystwa. Masz przecież miłych kolegów: Wiesia...

– Taki sam lalusz jak ja. Może jeszcze gorszy. Nawet nie umie grać w tenisa.

– A Marek Stanisz?

– Łamaga i do tego skarży na kolegów.

Pani Seratowiczowa rozłożyła szeroko ręce.

– Luluniu, widzę, że się nie rozumiemy. Masz takie dobre warunki. Ojciec przysyła ci najdroższe rzeczy, a ty stale chodzisz skwaszony. Czego ci jeszcze potrzeba?

Chłopiec cmoknął zniecierpliwiony.

– Właśnie! Niczego mi nie brak, a mama mnie nie rozumie.

– Może zaprowadzić cię do psychiatry? Pani doktor Sekocińska mówiła, że zna świetnego specjalistę.

Chłopiec zachnął się gniewnie.

– Tego jeszcze brakowało. Gdyby się chłopcy dowiedzieli, to dopiero ładnie bym wyglądał. Powiedzieliby, że mam szmergla w głowie.

– Co takiego?

– Mama by chciała, żebym był pośmiewiskiem.

– Przecież nikt się nie dowie, że byłeś u lekarza.

– To się mama myli. Oni zaraz skapują.

– Chłopcze, jak ty się wyrażasz – westchnęła żałośnie pani Seratowiczowa. Chciała jeszcze coś dodać, ale w tej chwili rozległ się dzwonek. – Pewno goście na brydża – powiedziała jakby do siebie.

Chłopiec spojrział na nią z rozpaczą.

– Znowu brydż?

– Przecież wiesz, że w niedzielę zapraszam gości.

– Wiem – wyszeptał.

Nie spojrzawszy na matkę, skierował się w głąb domu. Minał wielki hall z palmami, przedpokój, zatrzymał się przy schodach. Zastanawiał się, co robić, lecz czuł, że na nic nie ma ochoty. Wolnym krokiem wspiął się na pierwsze piętro. Wszedł do swego pokoju.

Naraz ogarnął go żal. Uniósł dłonie do twarzy i zapłakał gorzko bez łez.

Chciał być inny. Nieraz, kiedy spojrział w lustro, czuł wstręt do siebie. Patrzył – niby normalny chłopiec, wszystko na swoim miejscu – oczy, usta, nos, a tymczasem całkiem nie to, co powinno być.

Wykrzywił się do swego odbicia, pokazywał język i chętnie dałby sobie porządnego kuksańca, żeby przynajmniej coś się zmieniło.

Inni chłopcy mieli kolegów, mieli swoje kłopoty, zmartwienia, a on czuł tylko nudę. Nudzić umiał się za pięciu.

Najbardziej nudził się w niedzielę po południu, kiedy do matki przychodzili goście na brydża. Zjawiali się zwykle mecenas Dylewicz, redaktor Rząska i pani doktor Sekocińska, która wycinała mu kiedyś migdałki i od tego czasu uważa, że powinien być jej za to bezgranicznie wdzięczny.

– Lulusiu – szczebiotała – gdyby nie ja, do tej pory każdej zimy przechodziłbyś anginę, a tak, chwała Bogu, rośniesz i coraz większy z ciebie kawaler.

Zaciskał zęby, powtarzał, jak go matka uczyła:

– Dziękuję, pani doktor, rzeczywiście od tego czasu nie choruję na anginę ani na inną chorobę.

Mecenas Dylewicz poprawiał okulary, kręcił z podziwu głową.

– Ho, ho... jaki ten nasz Luluś rezolutny i jaki mądry. Mówię ci, chłopcze, zrobisz karierę.

Redaktor Rząska dodawał:

– Jeszcze nieraz będziemy o nim pisali w gazecie. Zobaczycie, państwo – i klepał chłopca po ramieniu.

Julka aż skręcało. Miał ochotę powiedzieć redaktorowi, że ma w nosie jego i jego gazetę, ale uśmiechał się cierpko i mówił przez zęby:

– Bardzo mi będzie miło, gdy pan kiedyś napisze o mnie.

Wiedział, dlaczego goście matki są dla niego tacy słodcy. Dzięki temu, że ojciec jest znakomitym specjalistą od budowy nowoczesnych cukrowni, stale przebywa za granicą i przysyła matce kupę forsy, matka może zapraszać gości na brydża, urządzać wystawne przyjęcia i częstować zagranicznymi trunkami. Ot, cała tajemnica.

Sam by w to nie uwierzył, gdyby kiedyś nie usłyszał rozmowy mecenasa z redaktorem w łazience. Nie podsłuchiwał. Po prostu nie zamknęli drzwi, a on właśnie przechodził tamtędy.

– Tej Teresie przewróciło się w głowie – mówił szeptem mecenas Dylewicz. – Sama już nie wie, co na siebie włożyć i na jaki kolor ufarbować sobie włosy.

– Niech pan da spokój – zaśmiał się redaktor. – U kogo popijalibyśmy taki koniak i mielibyśmy taką wyzerkę.

– Swoją drogą, kuchnię to oni mają wyśmienitą... wyśmienitą, daję słowo.

Reszty rozmowy Julek nie usłyszał, bo odkręcono kran i szum wody wszystko zagłuszył.

Miał powiedzieć o tym matce, lecz był nieśmiały i nie chciał jej robić przykrości. Zrozumiał jednak, dlaczego był dla nich taki rezolutny i dlaczego będą o nim kiedyś pisali w gazecie.

2

Była lipcowa niedziela. Popołudnie. Na tarasie grali w brydża. Julek leżał u siebie, na górze. Nie było mu ani smutno, ani wesoło, tak jakby był, a właściwie go nie było. Po prostu okropnie się nudził i zdawało mu się, że wszyscy i wszystko nudzi się dokoła.

Marzył o tym, żeby nagle coś się stało. Coś okropnego. A tu nic, tylko mucha łązi po suficie, a z werandy dochodzą głosy brydżystów: „Karo... pik... dwa trefle... dwa kara... dwa piki... pas... pas...” I osa brzęczy między szybami. A wszystko jakby na niby. Niby jest niedziela, niby ojciec wyjechał do Akry, niby mama zaprosiła gości, niby on jest Julianem Seratowiczem, ma trzynaście lat, przeszedł do siódmej klasy i pani doktor Sekocińska wycięła mu migdałki. Po co? Czy z migdałkami bardziej by się nudził? Chyba nie. Mógłby przecież mieć teraz anginę, a to byłoby zabawniejsze. Bolałoby go gardło, a wieczorem matka, zamiast iść z całym towarzystwem do teatru, grałaby z nim w warcaby lub w remi...